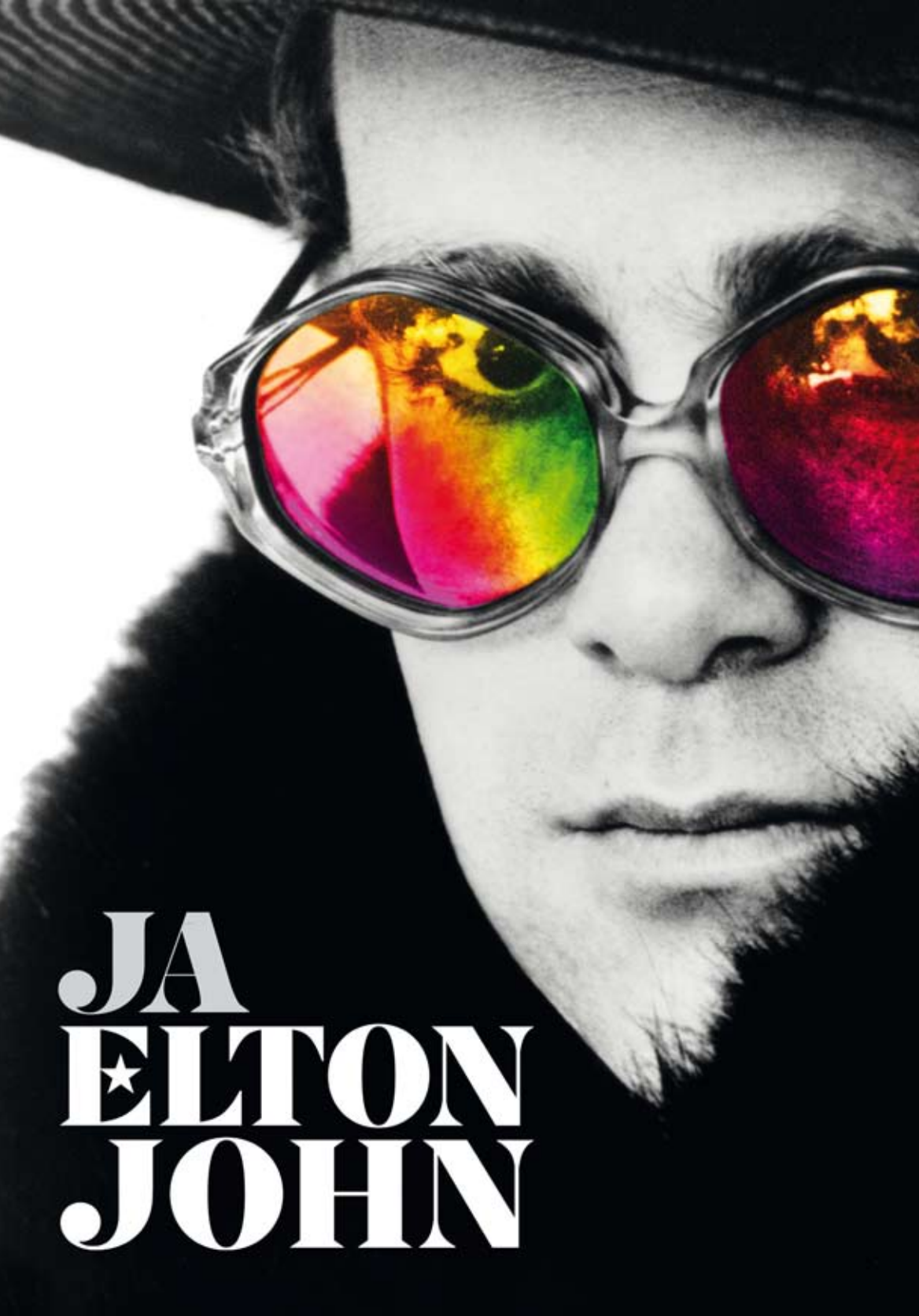




JA
★ ELTON
JOHN

W pierwszej i jedynej autobiografii **ELTON JOHN**, właściwie Reginald Dwight, ujawnia prawdę o swoim niezwykłym życiu. To szczerza, zabawna, ale i wzruszająca historia charyzmatycznego artysty.

Elton wraca myślami do trudnego dzieciństwa, które spędził na przedmieściach Londynu, i pierwszych porażek w branży muzycznej. Wspomina szalone trasy koncertowe, na których występował już jako supergwiazda w najbardziej odlotowych strojach. Nie unika też trudnego tematu walki ze swoimi uzależnieniami. Opowiada o przyjaźniach: z Johnem Lennonem, George'em Michaeliem i Freddie'm Mercurym, a także o założeniu fundacji walczącej z AIDS i zaangażowaniu się w jej działalność. Otwarcie pisze o poszukiwaniu swojej seksualności, o ślubie z długoletnim partnerem Davidem Furnishem oraz o tym, jak został ojcem.

Trzymasz w rękach barwną i pełną pokory opowieść o muzyce, związkach, pasjach i błędach.

Wyrusz w intymną podróż z ikoną muzyki.

ELTON JOHN

JA

**Pierwsza i jedyna
autobiografia
Eltona Johna**

tłumaczenie Piotr Grzegorzewski



OTWARTE

Kraków 2020

Tytuł oryginału: *Me*

ME Copyright © 2019, Elton John. All rights reserved

Copyright © for the translation by Piotr Grzegorzewski

Wydawca prowadzący: Wojciech Karkoszka

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Ewa Polańska

Projekt graficzny wnętrza książki: Irena Jagocha

Adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Projekt okładki: James Annal, © Pan Macmillan

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Nikola Hahn

ISBN 978-83-8135-032-7



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

1

To dzięki mamie poznałem Elvisa. W każdy piątek po pracy pobierała tygodniówkę, zatrzymywała się w drodze do domu w Siever's, sklepie elektrycznym, w którym sprzedawano również płyty, i kupowała nowe single odtwarzane na gramofonie z prędkością siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę. Czekałem w domu, żeby zobaczyć, co tym razem przyniosła – to była moja ulubiona chwila z całego tygodnia. Uwielbiała chodzić na potańcówki, a co za tym idzie – przepadała za muzyką bigbandową: Billym Mayem z orkiestrą czy Tedem Heathem. Darzyła też miłością amerykańskich wokalistów: Johnniego Raya, Frankiego Laine'a, Nata Kinga Cole'a, Guya Mitchella śpiewającego: „ona nosi czerwone pióra i hawajską spódniczkę”. Jednak pewnego piątku wróciła do domu z zupełnie inną płytą. Powiedziała mi, że nigdy jeszcze czegoś takiego nie słyszała, ale ten singiel był tak świetny, że musiała go kupić. Wymieniła przy tym imię i nazwisko wykonawcy: Elvis Presley. Tak się złożyło, że je znałem. W poprzednim tygodniu przeglądałem czasopisma w miejscowym zakładzie fryzjerskim, czekając na swoją kolej do podcięcia włosów, kiedy moją uwagę przykuło zdjęcie najdziwniej wyglądającego człowieka, jakiego widziałem. Wszystko w nim

wydawało się niezwykle: ciuchy, fryzura, nawet poza. Przy osobach, które się widywało za oknem zakładu fryzjerskiego w Pinner, na północno-zachodnich przedmieściach Londynu, wyglądał jak kosmita. Byłem tak zszokowany, że nawet nie przeczytałem artykułu towarzyszącego fotografii, i do czasu gdy wróciłem do domu, jego nazwisko wyleciało mi z głowy. Jednak w tej chwili znów mi się objawiło w całej pełni: Elvis Presley.

Gdy tylko mama nastawiła płytę, stało się dla mnie jasne, że Elvis brzmi dokładnie tak, jak wygląda: jakby pochodził z innej planety. W porównaniu z utworami, których zwykle słuchali rodzice, *Heartbreak Hotel* ledwo można było w ogóle uznać za muzykę, czego zresztą przez wiele następnych lat uwielbiał dowodzić mój ojciec. Słyszałem już przedtem rock and rolla (*Rock Around the Clock* był dużym hitem w 1956 roku), lecz *Heartbreak Hotel* nie przypominał również jego. Ten utwór był niezwykle: surowy, niespieszny i pełen grozy. I jeszcze ten dziwny pogłos. Ledwo można było zrozumieć, o czym cały ten Elvis śpiewa. Wydawało mi się, że chodzi o to, że rzuciła go dziewczyna, ale co dalej? Całkowicie się pogubiłem. Co to jest ten „*dess clurk*”? I kim był „*Bidder Sir Lonely*”, o którym ciągle wspominał?*

W sumie tekst nie miał dla mnie znaczenia, bo działo się ze mną coś dziwnego, gdy tylko rozlegał się jego głos. Tak jakby czuło się jakąś dziwną, zaraźliwą energię, która wydobywała się z głośnika radioli i przepływała do ciała słuchacza. Już w tym czasie uważałem się za fana muzyki – miałem nawet skromną kolekcję własnych siedemdziesiątek ósemek, kupowanych za bony podarunkowe i pieniądze, które dostawałem na urodziny i święta. Do tamtej pory moją idolką była Winifred Atwell, potężnie zbudowana

* Przekręcone fragmenty tekstu *Heartbreak Hotel*. Mały Reg Dwight słyszał „*dess clurk*” zamiast „*desk clerk*” (recepcjonistka) i „*Bidder Sir Lonely*” zamiast „*I get so lonely*” (czuję się taki samotny).

i nieodparcie zabawna matrona z Trynidadu, która na scenie obsługiwała dwa instrumenty – fortepian buduarowy, na którym grała popularne utwory klasyczne, i stare poobtlukiwane pianino do ragtime'ów i przyspiewek pubowych. Uwielbiałem jej poczucie humoru, teatralność, z jaką oznajmiała: „A teraz przejdę do mojego DRUGIEGO instrumentu”, a także to, jak podczas gry odchyłała do tyłu głowę, a na jej twarzy pojawiał się szeroki uśmiech, zupełnie jakby przeżywała właśnie najpiękniejsze chwile swojego życia. Winifred Atwell była wspaniała, jednak słuchając jej, nigdy nie doświadczyłem czegoś takiego jak przy Elvisie. W ogóle nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem. Po wysłuchaniu *Heartbreak Hotel* czułem się tak, jakby zaszła zmiana, jakby nic już nie było takie jak dawniej. Jak się okazało, nie myliłem się.

I chwała Bogu, bo świat naprawdę potrzebował zmian. Dorastałem w Wielkiej Brytanii lat pięćdziesiątych, a przed Elvisem i rock and rollem był to bardzo ponury kraj. Nie przeszkadzało mi życie w Pinner (nigdy nie należałem do tych gwiazd rocka, których motywacją było palące pragnienie ucieczki z przedmieść, nawet je lubiłem), jednak cała Wielka Brytania znajdowała się w żalosnym położeniu. Rządziły nią podejrzliwość, strach i krytycyzm. Był to świat zgorzkniałych ludzi wyglądających ukradkiem zza firanek i dziewczyn odsyłanych z domu, gdy wpadły w kłopoty. Kiedy myślę o Wielkiej Brytanii lat pięćdziesiątych, przypominam sobie, jak siedziałem na schodach naszego domu, słuchając brata mamy, wujka Rega, próbującego wybić jej z głowy rozwód z tatą.

– Nie możesz się rozwieść! – przekonywał. – Co sobie ludzie pomyślą?

Pamiętam, że w pewnej chwili zapytał również:

– Co na to powiedzą sąsiedzi?

To nie była jego wina. Po prostu w tamtych czasach panowało powszechne przekonanie, że szczęście jest mniej ważne od utrzymywania pozorów.

Prawda jest taka, że moi rodzice w ogóle nie powinni się pobierać. Urodziłem się w 1947 roku, jednak w sumie byłem dzieckiem wojny. Prawdopodobnie zostałem poczęty podczas jednej z przepustek mojego ojca (w roku 1942, w trakcie drugiej wojny światowej, wstąpił do RAF-u i postanowił tam zostać po jej zakończeniu). Moich rodziców z pewnością należy uznać za wojenną parę. Ich historia wydaje się bardzo romantyczna. Poznali się w tym samym roku, gdy ojciec się zaciągnął. Miał siedemnaście lat i pracował w stoczni w Rickmansworth, specjalizującej się w budowaniu barek. Mama, która z domu nazywała się Harris, miała szesnaście lat i wozila furmanką mleko do United Dairies – przed wojną taką pracę nie parowały się żadna kobieta. Tata amatorsko grał na trąbce i prawdopodobnie na jednej z przepustek wypatrzył mamę siedzącą na widowni, gdy występował z zespołem w hotelu w North Harrow.

Jednak małżeństwo Stanleya i Sheili Dwightów nie miało w sobie ani krzty romantyczności. Po prostu im nie wychodziło. Oboje byli zbyt uparci i wybuchowi – cudowne cechy, które miałem szczęście po nich odziedziczyć. Nie mam nawet pewności, czy się kochali. Podczas wojny ludzie garnęli się do żeniaczki (przyszłość wydawała się niepewna nawet w styczniu 1945 roku, kiedy moi rodzice się pobierali) i starali się żyć chwilą. Może z nimi było podobnie. Może zresztą kiedyś, na samym początku, darzyli się uczuciem, a w każdym razie tak im się wydawało. Teraz jednak nie mogli na siebie patrzeć. Kłótnie nie miały końca.

Dobrze przynajmniej, że sytuacja się uspokajała, gdy taty nie było w domu, co nie należało do rzadkości. Awansowano go na kapitana lotnictwa i regularnie wysyłano za granicę, do Iraku i Adenu, więc dorastałem w domu pełnym kobiet. Mieszkaliśmy z babcią Ivy, matką mojej mamy, przy Pinner Hill Road 55 – w domu, w którym przyszedłem na świat. Było to jedno z owych mieszkań komunalnych, które wyrastały jak grzyby po deszczu w Wielkiej Brytanii w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku: trzy sypialnie

w typowym bliźniaku (parter z czerwonej cegły, na piętrze fasada otynkowana i pobielona). W domu tym mieszkał jeszcze jeden mężczyzna, chociaż nikt go właściwie nie zauważał. Mój dziadek zmarł bardzo młodo na raka i babcia wyszła ponownie za mąż za niejakiego Horace’a Sewella, który stracił nogę w czasie pierwszej wojny światowej. Horace miał złote serce, lecz trudno go było uznać za gadułę. Większość czasu spędzał poza domem. Pracował w miejscowym żłobku, Woodman’s, a pozostałe chwile spędzał w ogródku, gdzie uprawiał warzywa i pielęgnował kwiaty.

Prawdopodobnie chował się tam, by unikać towarzystwa mojej mamy, o co w sumie trudno mieć do niego pretensje. Nawet wtedy, gdy taty nie było w pobliżu, mama bywała w złym humorze. Ilekroć wracam pamięcią do dzieciństwa, przypominają mi się zły nastrój matki i okropna, gniewna, ponura cisza, która zalegała w domu bez ostrzeżenia i sprawiała, że wszyscy musieli chodzić na paluszkach i nadzwyczaj ostrożnie dobierać słowa, żeby tylko, broń Boże, jej nie zdenerwować i nie narazić się na burę. W chwilach beztróski potrafiła być ciepła, czarująca i pełna werwy, jednak wydawało się, że w istocie wypatruje tylko powodów, by być nieszczęśliwą, szuka zwady i zawsze musi mieć ostatnie słowo. Wujek Reg stwierdził kiedyś, że umiałyby wszcząć awanturę nawet w pustym pokoju. Przez lata wydawało mi się, że to do pewnego stopnia moja wina, może nigdy nie chciała zostać matką. W końcu, kiedy się urodziłem, miała dwadzieścia jeden lat i utknęła w nieudanym małżeństwie, z braku środków zmuszona do życia pod jednym dachem z matką. Jednak jej siostra, ciocia Win, powiedziała mi kiedyś, że zawsze taka była – już w dzieciństwie Sheilę Harris otaczała jakby chmura mroku i nawet podobało się jej, że inne dzieci się jej boją.

Zdecydowanie miała dziwne poglądy na wychowanie. Były to czasy, gdy utrzymywało się dzieci w karności, spuszczać im manto pod byle pretekstem, i ogólnie uważano, że nie ma nic złego w stosowaniu kar cielesnych. Moja matka była gorącą orędowniczką

tej filozofii, co stawało się przerażające i upokarzające za każdym razem, gdy dawała jej wyraz w miejscach publicznych. Nic tak nie wpływa na poczucie własnej wartości jak dostanie w skórę przed sklepem sieci Sainsbury's w Pinner na oczach wyraźnie zaintrygowanych gapiów. Niektóre z zachowań mamy wykraczały nawet poza standardy tamtej epoki. Po latach dowiedziałem się, że gdy miałem dwa lata, uczyła mnie siusiać do nocnika, bijąc mnie do krwi drucianą szczotką. Kiedy babcia odkryła, co się dzieje, wpadła w zrozumiałą furję. W rezultacie przez wiele tygodni się do siebie nie odzywały. Po raz kolejny babcia wyszła z siebie, gdy dowiedziała się, jaki moja matka ma sposób na zaparcia. Otóż kładła mnie na ociekaczu w kuchni i wkładała mi do pupy kawałki szarego mydła. Jeśli rzeczywiście lubiła wzbudzać strach, musiałem jej sprawiać mnóstwo radości, bo kurewsko się jej bałem. Kochałem ją – w końcu była moją mamą – ale dzieciństwo upłynęło mi w stanie ciągłego napięcia. Bez przerwy usiłowałem się upewnić, czy aby na pewno nie uczyniłem niczego, co mogłoby ją rozjuszyć. Jeśli ona była szczęśliwa, ja również taki byłem, choćby chwilowo.

Babcia nie nastręczała podobnych problemów. To właśnie jej najbardziej ufałem. Uważałem ją za najważniejszą osobę w naszej rodzinie, na dodatek jako jedyna nie chodziła do pracy (po wojnie mama awansowała z roznosicielki mleka na sprzedawczynię w sklepie). Babcia należała do grona starych matron z klasy niższej: twardo stąpających po ziemi, ciężko pracujących, miłych i zabawnych. Uwielbiałem ją. Była najlepszą kucharką, miała najlepszą rękę do roślin, lubiła się napić i grać w karty. Miała też niewyobrażalnie ciężkie życie – ojciec porzucił jej matkę, gdy ta była w ciąży, więc babcia urodziła się w przytułku. Nigdy o tym nie mówiła, ale wyglądało na to, że tamte wydarzenia uczyniły z niej osobę, którą niełatwo zbić z tropu. Nawet wtedy, gdy zbiegłem z wyciem po schodach, bo przyciąłem sobie suwakiem napletek, i poprosiłem, by go wyciągnęła, tylko westchnęła i zabrała się do rzeczy, zupełnie

jakby uwalnianie penisów małych chłopców należało do jej codziennych obowiązków.

W jej domu pachniało pieczystym i palącym się węglem. Zawsze ktoś się tam kręcił: ciocia Win i wujek Reg, moje kuzynostwo John i Cathryn, sąsiadka, pracownik Watford Steam Laundry, który wpadł po pranie, albo węglarz. I zawsze grała muzyka. Radio było niemal na okrągło włączone, babcia ciągle słuchała takich audycji jak *Two-Way Family Favourites*, *Housewives' Choice*, *Music While You Work* i *The Billy Cotton Band Show*. Jeśli nie, odtwarzała płyty na radioli – głównie jazz, chociaż czasami również muzykę klasyczną.

Godzinami przeglądałem te płyty, wpatrując się w ich różnokolorowe nalepki. Niebieskie miała Decca, czerwone – Parlophone, jasnożółte – MGM, HMV i RCA. Dwie ostatnie, z powodu, którego nigdy nie zgłębiłem, przedstawiały psa zaglądnącego do tuby gramofonu. Te płyty wydawały mi się magiczne – zadziwiało mnie, że gdy przykładano się do nich igłę, w tajemniczy sposób wydobywał się z nich dźwięk. Po jakimś czasie jedynymi prezentami, jakich pragnąłem, były książki i płyty. Pamiętam rozczarowanie, które ogarnęło mnie, gdy w pewien bożonarodzeniowy poranek zszedłem po schodach i zobaczyłem wielką paczkę. Boże, kupili mi klocki Meccano.

Poza tym babcia miała pianino. Ciocia Win umiała na nim grać i w końcu ja również się nauczyłem. W rodzinie krążyło wiele opowieści o tym, jaki to ogromny talent przejawiałem. Najczęściej powtarzano tę, w której Win posadziła mnie sobie na kolanach, gdy miałem trzy lata, a ja momentalnie zagrałem ze słuchu melodię *The Skaters' Waltz*. Nie mam zielonego pojęcia, czy to prawda, faktem pozostaje, że nauczyłem się grać na pianinie w bardzo młodym wieku, mniej więcej w czasie, gdy poszedłem do szkoły w Reddiford. Grałem utwory takie jak *All Things Bright and Beautiful*, pieśni religijne, które słyszałem podczas nabożeństw. Urodziłem

się z dobrym słuchem, podobnie jak niektórzy rodzą się z pamięcią fotograficzną. Wystarczy, że coś usłyszę raz, a jestem w stanie podejść do pianina i zagrać to prawie bezbłędnie. Gdy miałem siedem lat, posłano mnie na lekcje do pani Jones. Niedługo później rodzice zaczęli nalegać, bym grał *My Old Man Said Follow the Van* i *Roll Out the Barrel* na rodzinnych spędach i weselach. Pomimo wielu płyt w domu i nagrań słuchanych przez radio to właśnie te staromodne piosenki do wspólnego śpiewania moja rodzina uwielbiała najbardziej.

Pianino przydawało się podczas przepustek mojego ojca. Należał do typowych Anglików z lat pięćdziesiątych: tłumił emocje inne niż gniew, ponieważ postrzegał je jako słabość. Dlatego nigdy mnie nie przytulał ani nie mówił, że mnie kocha. Za to lubił muzykę i gdy słyszał, że gram na pianinie, mogłem liczyć na zdawkowe: „dobra robota”, a może nawet na poklepanie po ramieniu, co miało być przejawem jego dumy i aprobaty. Chwilowo miałem u niego fory. Było to dla mnie niezmiernie ważne. Jeśli bałem się go nieco mniej niż matki, to tylko dlatego że wciąż go nie było. Kiedy miałem sześć lat, mama postanowiła, że wyprowadzimy się z Pinner i rozstaniemy z rodziną, by pojechać z ojcem do Wiltshire – wysłano go do bazy RAF Lyneham w pobliżu Swindon. Nie pamiętam tego zbyt dobrze. Wiem, że lubiłem bawić się na wsi, ale mam wrażenie, że byłem również nieco zdezorientowany zmianą otoczenia i w rezultacie zacząłem mieć trudności w szkole. Nie pozostaliśmy tam zbyt długo – mama chyba szybko zorientowała się, że popełniła błąd. Po powrocie do Pinner miałem wrażenie, że tata jest bardziej gościem niż stałym domownikiem.

Kiedy już jednak do nas przyjeżdżał, moje życie się zmieniało. Nagle zaczynały obowiązywać nowe zasady. Dotyczyły praktycznie wszystkiego. Mogłem napytać sobie biedy, jeśli grając w piłkę na trawniku, kopnąłem ją przypadkiem w kwietnik, ale mogłem wpaść w kłopoty również wtedy, gdy jadłem seler w sposób, który

ojciec uznał za nieodpowiedni. Albowiem seler odpowiednio jadło się w taki sposób, by nie było tego słyszać. Kiedyś dostałem od niego w skórę, bo ponoć zdjąłem w nieodpowiedni sposób szkolny mundur. Widać zapomniałem, w jaki sposób poprawnie powinno się ściągać mundur, chociaż zdaniem ojca była to elementarna wiedza. To zdarzenie tak wstrząsnęło ciocią Win, że ze łzami w oczach pospieszyła na skargę do babci. Ta jednak, prawdopodobnie zmęczona awanturami o naukę siadania na nocnik i metody leczenia z zaparć, powiedziała cioci, by się nie wtrącała.

Nie mam zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło. O problemach swojego ojca wiem mniej więcej tyle samo co o kłopotach matki. Może miało to coś wspólnego z wojskiem, w którym dosłownie wszystko podporządkowane jest regulaminom. A może był odrobinę zazdrosny – odcięty od rodziny przez tak długi czas, uważał, że dzięki narzuceniu zasad znów stanie na czele stada. Może w ten sposób został wychowany, chociaż jego rodzice – babcia Ellen i dziadek Edwin – nie wydawali się jakoś szczególnie groźni. A może moi rodzice nie radzili sobie z dziećmi, bo po prostu nie mieli doświadczenia? Nie wiem. Wiem tylko, że mój tata był niesamowicie gwałtownym człowiekiem i wydawało się, że nie potrafi robić użytku ze słów. Nie doczekałem się z jego strony ani jednej spokojnej reakcji, żadnego „usiądź, pogadamy”. Od razu wybuchał. Słynna porywczosć Dwightów. Zmora mojego dzieciństwa, ale i dorosłego życia, kiedy stało się dla mnie jasne, że jest moim dziedzictwem: albo odpowiadały za nią geny, albo nieświadomie się jej nauczyłem. Tak czy owak, ta cecha była niezmiernie upierdliwa zarówno dla mnie, jak i wszystkich wokół mnie przez większą część mojego dorosłego życia.

Gdyby nie mama i tata, moje dzieciństwo byłoby całkiem normalne, wręcz nudne: *Muffin the Mule* w telewizji i sobotnie popołudniówki dla dzieci w kinie Embassy w North Harrow, *The Goon Show* w radiu i chleb ze smalcem na podwieczorek w niedzielę.

Z dala od domu czułem się szczęśliwy. W wieku jedenastu lat zacząłem uczęszczać do Pinner County Grammar School, gdzie zupełnie niczym się nie wyróżniałem. Nikt mnie nie prześladował ani ja nikogo nie prześladowałem. Nie byłem kujonem, ale nie byłem również łobuziakiem. Zostawiałem to ostatnie swojemu kumplowi Johnowi Gatesowi, będącemu jednym z tych chłopaków, którzy spędzają niemal całe dzieciństwo w kozie albo przed gabinetem dyrektora i w bogatym katalogu szkolnych sankcji nie ma już kary mogącej zmienić ich zachowanie. Miałem lekką nadwagę, ale nieźle radziłem sobie na wuefie, choć nie na tyle dobrze, by istniało jakiekolwiek ryzyko, że zostanę gwiazdą sportu. Grałem w nogę i tenisa – właściwie we wszystko z wyjątkiem rugby. Ze względu na moją tuszę ustawiano mnie zwykle w młynie, gdzie moja rola polegała głównie na tym, że obrywałem po jajach od zawodnika grającego na pozycji filara w drużynie przeciwnej. Dzięki, ale nie.

Moim najlepszym przyjacielem był Keith Francis, jednak stanowiął on część większej grupy przyjaciół obu płci, z którą spotykam się do dzisiaj. Od czasu do czasu organizuję spotkania klasowe u siebie w domu. Za pierwszym razem strasznie się denerwowałem – w końcu minęło pięćdziesiąt lat, jestem teraz sławny, mieszkam w ogromnej rezydencji, nie wiedziałem, co o mnie myślą. Okazało się jednak, że w ogóle się tym nie przejmowali. Kiedy się zjawili, miałem wrażenie, że przeniosłem się w czasie do roku 1959. Właściwie nikt za bardzo się nie zmienił. John Gates wciąż miał ten błysk w oku sugerujący, że lubi trochę połobuzować.

Przez lata w moim życiu nic się nie działo. Najbardziej ekscytującym wydarzeniem była wycieczka szkolna do Annecy, gdzie zatrzymaliśmy się u naszych korespondencyjnych przyjaciół z Francji i gapiliśmy się na citroëny 2CV, które w niczym nie przypominały aut spotykanych na angielskich drogach – ich siedzenia wyglądały jak leżaki. Albo ten dzień w trakcie przerwy wielkanocnej, kiedy z powodów, których już dziś nie pomnę, Barry Walden, Keith i ja

postanowiliśmy pojechać rowerami z Pinner do Bournemouth. Pomysł ten podobał mi się tylko do chwili, gdy uświadomiłem sobie, że rowery kolegów wyposażone są w silniki, podczas gdy mój nie. Jadąc pod górkę, musiałem nieźle pedałować, żeby za nimi nadążyć. Jedyne niebezpieczeństwo, jakie mogło mnie czekać, polegało na tym, że mogłem zanudzić któregoś z kolegów na śmierć, kiedy zaczynałem gadać o płytach. Nie wystarczało mi, że je zbierałem. Za każdym razem, gdy jakąś kupiłem, zapisywałem to w specjalnym zeszycie. Notowałem tytuły utworów ze strony A i B, a także wszelkie inne informacje z nalepki: dane autora, wydawcy i producenta. Potem uczyłem się tego na pamięć, aż wreszcie stałem się chodzącą encyklopedią muzyki. Niewinne pytanie, dlaczego igła przeskakuje podczas odtwarzania *Little Darlin'* The Diamonds, kończyło się tym, że informowałem wszystkich zgromadzonych, że singiel ten wydała wytwórnia Mercury Records, której przedstawicielem w Wielkiej Brytanii jest Pye, a Pye to jedyna wytwórnia, która nie robi siedemdziesiątek ósemek ze staroświeckiego szelaku, tylko z nowoczesnego winylu, do którego igły nie są jeszcze przystosowane.

Nie skarżyłem się jednak, że mam nudne życie – podobało mi się. Tak bardzo miałem dość ciągłych awantur w domu, że nudne życie poza nim wydawało mi się dziwnie kuszące, zwłaszcza odkąd moi rodzice znów postanowili zostać małżonkami na pełny etat. Doszło do tego, gdy zacząłem chodzić do Pinner County Grammar School. Tata został wysłany do bazy RAF Medmenham w Buckinghamshire i przeprowadziliśmy się do domu w Northwood, przy Potter Street 111, jakieś dziesięć minut drogi z Pinner. Spędziliśmy tam trzy lata, na tyle długo, by rodzice ostatecznie się przekonali, że ich małżeństwo to niewypał. Boże, to było piekło: ciągle kłótnie przerywane od czasu do czasu okresami lodowatego milczenia. Nie udawało mi się ani na chwilę rozluźnić. Jeśli wciąż czekasz na kolejny wybuch wściekłości mamy albo na przemowę ojca, w której

dowiedzie ci, że znów złamałeś jakąś zasadę, w końcu nie wiesz, co robić – ciągły niepokój o jutro nappełnia cię paraliżującym strachem. Nic więc dziwnego, że brakowało mi pewności siebie i bałem się własnego cienia. Na dodatek wbiłem sobie do głowy, że to ja odpowiadam za klęskę małżeństwa rodziców, ponieważ mnóstwo awantur dotyczyło mnie. Ojciec mnie objeżdżał, matka interweniowała i nagle zaczynali się kłócić o to, jak mnie wychowywać. W rezultacie nie myślałem zbyt dobrze o sobie, co objawiało się nieśmiałością, z której wyleczyłem się dopiero w dorosłym życiu. Lata całe nie mogłem patrzeć na własne odbicie w lustrze. Naprawdę nienawidziłem swojego wyglądu: byłem za gruby, za niski, moja twarz była po prostu dziwna, włosy nigdy nie układały się tak, jak bym chciał, a na dodatek przedwcześnie wypadały. Innym utrzymującym się objawem był lęk przed konfrontacją. Trwał całe dzieciństwo. Tkwiłem w złych relacjach biznesowych i toksycznych związkach, bo nie chciałem wprowadzać zamieszania.

Jedyną reakcją, na jaką mogłem się zdobyć, gdy sprawy przybierały naprawdę zły obrót, była ucieczka do sypialni i zamknięcie drzwi, czyli dokładnie to, co robiłem podczas awantur rodziców. Wychodziłem do swojego pokoju, gdzie wszystko było idealnie ułożone i uporządkowane. Nie zbierałem wyłącznie płyt, ale również komiksy, książki i czasopisma. Byłem we wszystkim niesamowicie drobiazgowy. Jeśli nie zapisywałem w zeszycie wszystkich szczegółów dotyczących nowego singla, przekopiowywałem listy przebojów z pism takich jak „Melody Maker”, „New Musical Express”, „Record Mirror” i „Disc”, a potem zestawiałem wyniki na własnej liście list. Zawsze miałem świra na punkcie statystyk. Nawet teraz codziennie przeglądam listy przebojów, wykazy utworów najczęściej granych w amerykańskich radiostacjach, a także wyniki box office’ów filmów i sztuk na Broadwayu. Większość artystów tego nie robi, w ogóle ich to nie interesuje. Kiedy z nimi rozmawiam, wiem więcej od nich o tym, jak radzi sobie ich najnowszy singiel.

Czyste szaleństwo. Oficjalne wytłumaczenie jest takie, że muszę wiedzieć, co się dzieje w branży, bo jestem właścicielem firmy zajmującej się produkcją filmów i kierowaniem karierą różnych artystów. Prawda jest taka, że robiłbym to nawet wtedy, gdybym pracował w banku. Po prostu jestem maniakiem.

Psycholodzy pewnie orzekliby, że w dzieciństwie próbowałem nadać sens swojemu chaotycznemu życiu, w którym tata to pojawiał się, to znikał i w którym pełno było wymówek i awantur. Nie mogłem mieć nad tym kontroli, podobnie jak nad zmiennymi nastrojami matki. Co innego nad rzeczami w swoim pokoju. Przedmioty nie mogły mnie zranić. Wręcz mnie uspokajały. Mówiłem do nich, zachowywałem się tak, jakby miały uczucia. Jeśli coś przypadkiem zepsułem, popadałem w przygnębienie, jakbym kogoś zabił. Podczas jednej ze szczególnie zażartych awantur matka rzuciła w ojca płytą, która roztrzaskała się na Bóg wie ile kawałków. To było *The Robin's Return* australijskiej pianistki ragtime'owej Dolores Ventury. Pamiętam, jak pomyślałem: „Jak mogłaś? Jak można niszczyć coś tak pięknego!”.

Wraz z nadejściem ery rock and rolla moja kolekcja płytowa rozkwitła. Doszło również do innych zmian, które sugerowały, że można ruszyć z miejsca i wyzwolić się z szarej powojennej rzeczywistości nawet wtedy, gdy żyje się na przedmieściach północno-zachodniego Londynu: w naszym domu pojawiły się telewizor i pralka, a na High Street w Pinner – bar kawowy, który wydawał się niesamowicie egzotyczny, przynajmniej do czasu, gdy w pobliskim Harrow otworzono chińską restaurację. Jednak następowało to powoli i stopniowo – każde z tych zdarzeń dzieliło kilka lat. Co innego rock and roll. Wydawało się, że przybył znikąd, szybko i trudno było pojąć, że tak całkowicie wszystko zmienił. W jednej chwili muzyka pop kojarzyła się jeszcze ze starym pocziwiną Guyem Mitchellem i *Where Will The Dimple Be?* oraz z Maxem Bygravesem śpiewającym o szczotkowaniu zębów. Te ugrzecznione

i cikliwe piosenki skierowane były do naszych rodziców, którzy nie chcieli słyszeć niczego nadmiernie ekscytującego i szokującego, ponieważ zaznali zbyt wielu emocji podczas wojny. W następnej chwili pojawili się Jerry Lee Lewis i Little Richard, których w ogóle nie można było zrozumieć, zupełnie jakby śpiewali z ustami pełnymi piany, i których rodzice nienawidzili. Nawet moja mama, miłośniczka Elvisa Presleya, ewakuowała się, gdy słyszała Little Richarda. Uważała *Tutti Frutti* za straszliwy jazgot.

Rock and roll był niczym bomba, która nie przestawała wybuchać – kolejne eksplozje były tak ogromne i następowały po sobie tak szybko, że trudno było zrozumieć, co się dzieje. Nagle objawiła się światu seria fantastycznych singli: *Hound Dog*, *Blue Suede Shoes*, *Whole Lotta Shakin' Goin' On*, *Long Tall Sally*, *That'll Be the Day*, *Roll Over Beethoven*, *Reet Petite*. Musiałem zacząć pracować w soboty, żeby było mnie na nie stać. Na szczęście pan Megson z Victoria Wine szukał kogoś do pomocy. Nająłem się więc do pracy i odtąd wstawiałem puste butelki do skrzynek, które z kolei ustawiałem w sterty. Myślę, że byłby to niezły sposób na odłożenie pieniędzy, gdyby od samego początku nie był obarczony poważną wadą: otóż Victoria Wine sąsiadowała ze sklepem płytowym. Pan Megson mógł równie dobrze przekazywać te dziesięć szylingów, które mi płacił, od razu jego właścicielowi. To był jeden z wczesnych przejawów tego, co z czasem przerodzi się w trwający całe życie zakupoholizm – jeśli czegoś zapragnę, nie ma takiej siły, która utrzymałaby moje pieniądze w kieszeni.

Sześćdziesiąt lat później trudno wyjaśnić, jak rewolucyjny i szokujący wydawał się w tamtych czasach rock and roll. Owa rewolucja nie ograniczała się tylko do muzyki, dotyczyła w zasadzie całej kultury, strojów, filmów i zachowania. Rock wydawał się pierwszą rzeczą, jaką nastolatki posiadały na własność, był adresowany wyłącznie do nas, sprawiając, że czuliśmy się inni niż nasi rodzice, i dając nam poczucie, że możemy coś o s i ą g n ą ć. Równie

trudno wytłumaczyć, do jakiego stopnia gardziło nim starsze pokolenie. Weźcie wszystkie przejawy paniki moralnej wywołanej w późniejszych czasach przez muzykę – punk i gangsta rap, mod-sów i rockersów oraz heavy metal – dodajcie je do siebie i pomnóżcie przez dwa – takie właśnie oburzenie wywołało pojawienie się rock and rolla. Ludzie kurewsko go nienawidzili. A najbardziej mój ojciec. On w ogóle nie przepadał za muzyką – w końcu lubił Franka Sinatrę – ale bardziej niż jej samej nie znosił jej skutków społecznych, uważał ją za niemoralną.

– Zobacz, jak oni się ubierają, jak się zachowują, jak kołyszą biodrami i eksponują wacki. N i e p o z w o l ę, żebyś w tym uczestniczył – powiedział mi kiedyś.

Gdybym się zbuntował, zostałbym w jego oczach mętem. Na wypadek, gdybyście nie wiedzieli: tym mianem kiedyś w Wielkiej Brytanii określano drobnych przestępców – kombinatorów, ludzi, którzy dopuszczali się oszustw lub prowadzili podejrzanе interesy. Prawdopodobnie już dojrzewiała w nim myśl, że mogę się stoczyć przez to, że w nieodpowiedni sposób jem selera; teraz nabrał przekonania, że rock and roll doprowadzi do mojej całkowitej degrengolady. Najmniejsza wzmianka o Elvisie albo Little Richardzie doprowadzała go do gniewnej perory, w której nakreślał moją nieuchronną przemianę w męta. Wydawało się, że choćby minuta słuchania *Good Golly Miss Molly* wystarczy, bym zaczął handlować kradzionymi nylonami albo kantować ludzi podczas gry w trzy karty w jednej z podlegszych uliczek Pinner.

Istniało naprawdę niewielkie niebezpieczeństwo, że mnie to spotka – niektórzy benedyktyni są dziksi niż ja w okresie, gdy byłem nastolatkiem – jednak mój ojciec wołał nie ryzykować. Kiedy w 1958 roku zaczynałem naukę w Pinner County Grammar School, styl ubierania się zmienił, lecz mnie stanowczo zabroniono noszenia czegokolwiek, co mogłoby być uznane za związane z rock and rollem. Keith Francis zadawał szyku spiczastymi butami o tak

długich noskach, że pojawiały się w klasie kilka dobrych minut przed nim. Tymczasem ja ciągle ubierałem się tak, jakbym był miniaturową wersją swojego ojca. Moje buty – o rozpacz! – miały tę samą długość co moja stopa. Najbardziej ekscentrycznym elementem mojego stroju pozostawały okulary, czy też raczej to, że w ogóle ich nie zdejmowałem, chociaż miały mi tylko pomagać przy przepisywaniu z tablicy. Wychodząc z błędnego przekonania, że upodabniają mnie do Buddy’ego Holly’ego, nosiłem je na okrągło, w wyniku czego całkowicie zniszczyłem sobie wzrok. Dopiero wtedy naprawdę musiałem zacząć je nosić na okrągło.

Pogarszający się wzrok miał również niespodziewane konsekwencje dla rozwoju mojej seksualności. Nie pamiętam już, w jakich dokładnie okolicznościach ojciec przyłapał mnie na masturbacji. Wydaje mi się, że bardziej próbowałem pozbyć się jej dowodów, niż byłem w trakcie samego aktu, ale pamiętam, że nie byłem tak przerażony, jak powinienem być, bo w sumie nie do końca wiedziałem, co takiego robiłem. Jeśli chodzi o seks, naprawdę byłem mocno opóźniony. Poważnie zainteresowałem się nim dopiero po dwudziestce, chociaż potem ze zdwojonym zapałem nadrobiłem stracony czas. Jednak w szkole rozmowy kumpli o tych sprawach strasznie mnie peszyły.

– Zabrałem ją do kina, żeby dorwać się do jej mleczarni – mówili na przykład.

Do czego? Co to w ogóle znaczy?

W każdym razie wydaje mi się, że robiłem to bardziej z chęci zaznania przyjemności niż po to, by dać wyraz dojrzewającej seksualności. Tak czy owak, kiedy tata mnie przyłapał, uraczył mnie oklepaną mądrością ludową, że jeśli dalej będę to robił, ani chybi oślepnę. Oczywiście, jak Anglia długa i szeroka, chłopcy otrzymywali podobne ostrzeżenia, ale uznawali je za bzdury i po prostu lekceważyli. Mnie natomiast te słowa zapadły w pamięć. A jeśli to prawda? – zastanawiałem się. Już zniszczyłem sobie wzrok,

próbując wyglądać jak Buddy Holly – może to zepsuje go do reszty? Uznałem, że lepiej nie ryzykować. I podczas gdy wielu muzyków może was zapewniać, że Buddy Holly miał ogromny wpływ na ich życie, chyba tylko ja mogę powiedzieć, że nieumyślnie powstrzymał mnie przed marszczeniem fredda. No, chyba że Holly nakrył kiedyś na tym Big Boppera*, kiedy byli razem w trasie czy coś.

Jednak mimo wszystkich zasad dotyczących ubioru i ostrzeżeń przed niechcynym stoczeniem się było już dla mnie za późno. Wbrew przestrogom taty stałem się wyznawcą rock and rolla. Wsiąknąłem po uszy. Widziałem w kinie *Kochając ciebie i Blondynka i ja*. Zacząłem chodzić na koncerty. Co tydzień tłum moich kolegów ze szkoły kierował się do kina Harrow Granada. Wśród nich ja, Keith, Kaye Midlane, Barry Walden i Janet Richie byliśmy najbardziej oddanymi, regularnymi uczestnikami tych wydarzeń, a wraz z nami niejaki Michael Johnson, jedyna znana mi osoba mająca równie wielkiego świra na punkcie muzyki jak ja. Czasami wydawał się nawet wiedzieć więcej ode mnie. Kilka lat później przyszedł do szkoły, wymachując płytką z utworem *Love Me Do* jakichś The Beatles i twierdząc, że to największe objawienie od czasów Elvisa. Myślałem, że przesadza, dopóki mi nie puścił tego utworu. Wówczas uznałem, że może mieć rację, i na horyzoncie pojawiła się kolejna muzyczna obsesja.

Bilet do Granady kosztował dwa szylingi i sześć pensów lub pięć szylingów, jeśli chciało się dostać lepsze miejsce. Wszystkie wydawały się warte swojej ceny, bo na każdy koncert składały się występy wielu solistów i zespołów. Jednego wieczoru można było zobaczyć dziesięciu artystów. Wykonywali po dwie piosenki, a potem występowała gwiazda wieczoru, która grała cztery lub pięć

* Pseudonim amerykańskiego muzyka rockandrollowego Jilesa Perry'ego Richardsona, który zginął wraz z Buddym Hollym i Ritchiem Valensem w wypadku lotniczym w 1959 roku.

utworów. Prędzej czy później każdy tam grał. Little Richard, Gene Vincent, Jerry Lee Lewis, Eddie Cochran, Johnny and the Hurricanes... Jeśli przypadkiem jakaś gwiazda odmawiała zaszczylenia kina Harrow Granada swoją obecnością, pozostawała jazda metrem do Londynu: to właśnie tam, w Palladium, zobaczyłem Cliffa Richarda z The Drifters, zanim jeszcze jego zespół zmienił nazwę na The Shadows. Tymczasem na przedmieściach zespoły zaczęły być zapraszane do mniejszych sal, takich jak South Harrow British Legion i Kenton Conservative Club. Jeśli tylko miałeś pieniądze, z łatwością mogłeś zobaczyć dwa-trzy koncerty tygodniowo. Co dziwne, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział zły występ albo wrócił do domu rozczarowany, mimo że niektóre z tych koncertów musiały być straszne, a dźwięk okropny. Jestem pewien, że w 1960 roku South Harrow British Legion nie dysponował nagłośnieniem będącym w stanie w pełni oddać brutalną, dziką moc rock and rolla.

Kiedy taty nie było w pobliżu, grałem piosenki Little Richarda i Jerry'ego Lee Lewisa na pianinie. Stali się oni moimi prawdziwymi idolami. Nie chodziło o ich styl gry, choć byli fantastyczni, traktowali instrumenty agresywnie, jakby znęcali się nad klawiaturą. Chodziło o to, że wstawali, nie przerywając grania, kopali stołki i wskakiwali na fortepian. Ich gra była równie podniecająca, seksowna i szokująca jak granie na gitarze czy bycie wokalistą. Dotąd nie zdawałem sobie sprawy, że to w ogóle możliwe.

Zainspirowało mnie to do zagrania kilku koncertów w miejscowych klubach młodzieżowych z zespołem o nazwie The Corvettes. Nie było to nic poważnego, pozostali członkowie grupy też jeszcze chodzili do szkoły (do miejscowego liceum w Northwood) i trwało zaledwie kilka miesięcy. Za większość koncertów otrzymywaliśmy zapłatę w postaci butelek coca-coli. Jednak przy tej okazji zdałem sobie sprawę, co chcę robić w życiu, i nie miało to nic wspólnego z planami ojca w stosunku do mnie, które zakładały

karierę w RAF-ie lub w bankowości. Nigdy nie ośmieliłbym się powiedzieć o tym na głos, ale po cichu uznałem, że może sobie te plany wsadzić w dupę. Najwyraźniej rock and roll zmienił mnie w buntownika, czego tata najbardziej się bał.

A może nigdy nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, nie licząc miłości do piłki nożnej? Wszystkie szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa dotyczące mojego taty wiążą się z tym, że pochodził z rodziny zapalonych kibiców. Zarówno jego siostrzeniec, jak i bratanek byli zawodowymi piłkarzami, obaj grali w Fulham w południowo-zachodnim Londynie: Roy Dwight i John Ashen. Chcąc mi sprawić frajdę, tata zabierał mnie na mecze na stadionie Craven Cottage w czasach, gdy prawym łącznikiem był Jimmy Hill, a najwięcej bramek strzelał Bedford Jezzard. Nawet poza boiskiem Roy i John wydawali mi się wielkimi postaciami, zawsze w ich obecności czułem lekkie onieśmienie. Po zakończeniu kariery John został rzutkim biznesmenem z zamiłowaniem do amerykańskich samochodów. Ilekroć odwiedzał nas w Pinner ze swoją żoną Bet, zajeżdżał pod dom obłądnie wyglądającym cadillakiem lub chevroletem. Roy był świetnym zawodnikiem, prawoskrzydłowym, który przeszedł do Nottingham Forest. Grał w tej drużynie w finale Pucharu Anglii w 1959 roku. Oglądałem ten mecz w telewizji z zapasem czekoladowych jajek, które specjalnie na tę okazję zaoszczędziłem w Wielkanoc. Nie tyle zjadłem te czekoladki, ile napchałem nimi buzię, będąc bliskim hysterii. Nie mogłem uwierzyć w to, co działo się na ekranie. W dziesiątej minucie spotkania Roy zdobył gola. Już przedtem rozważano jego powołanie do reprezentacji Anglii. Zdawało się, że tym strzałem przypieczętował swój los. Nie posiadałem się ze szczęścia – oto mój kuzyn, mój najprawdziwszy krewny, będzie grał w reprezentacji. To wydawało się równie niewiarygodne jak zamiłowanie Johna do amerykańskich samochodów. Kwadrans później Roya zniesiono na noszach z boiska. W starciu z innym zawodnikiem złamał nogę i dopiero to zdarzenie

n a p r a w d ę przypieczętowało jego los. Jego kariera dobiegła końca. Próbował jeszcze, ale nigdy nie wrócił do formy. Skończył jako wuefista w szkole dla chłopców w południowym Londynie.

Mój tata kibicował znacznie mniej utytułowanej i niebudzącej tak wielkiego podziwu drużynie Watford. Miałem sześć lat, kiedy pierwszy raz zabrał mnie na mecz. Mozolili się na dole tabeli Third Division South – będącej wówczas najniższą z możliwych lig. W sumie niedługo po tym, jak po raz pierwszy pojawiłem się na ich meczu, zaczęli grać tak kiepsko, że nawet z tej ligi ich wyrzucono. Musieli ubiegać się o ponowne dopuszczenie do rozgrywek. Już sam ich stadion przy Vicarage Road świadczył dobitnie o tym, z jak beznadziejną drużyną miało się do czynienia. Przy boisku stały zaledwie dwie bardzo stare rozchwierutane trybuny, a na stadionie odbywały się również wyścigi chartów. Gdybym miał choć trochę rozumu w głowie, widząc, w jakiej formie są gracze Watford, wybrałbym kibicowanie innej drużynie, której zawodnicy naprawdę umieją grać w piłkę. Oszczędziłbym sobie dwudziestu lat niemal nieustannych rozczarowań. Tyle że piłka nożna polega nie tylko na tym, a przynajmniej nie powinna polegać tylko na tym. Po prostu mamy to we krwi – drużynie Watford kibicował mój tata, więc zacząłem kibicować jej również ja.

Poza tym nic mnie nie obchodziły opłakany wygląd stadionu, beznadziejna gra zespołu ani panujące tam przeraźliwe zimno. Momentalnie pokochałem to wszystko. Dreszczyk emocji towarzyszący oglądaniu po raz pierwszy meczu na własne oczy, podekscytowanie jazdą pociągiem do Watford i przejściem przez miasto na stadion, gazeciarze krążący po stadionie w przerwie meczu i podający wyniki innych spotkań, rytuał zajmowania wciąż tych samych miejsc na trybunie o nazwie Shrodells Stand. Wszystko to przypominało branie narkotyków, od których od razu się uzależniało. Podchodziłem do futbolu z równie nabożną czcią jak do muzyki.

Kiedy nie kompilowałem swojej listy list w sypialni, wycinałem z komiksów tabele ligowe, przylepiałem je do ściany i sprawdzałem, czy są aktualne. To jedyny nałóg, z którego się nie wyzwoliłem, bo nigdy nie miałem takiej potrzeby, a zarazem spadek po ojcu.

Kiedy miałem jedenaście lat, moja nauczycielka gry na pianinie wysłała mnie na egzamin wstępny do Royal Academy of Music w Londynie. Zdałem go i przez kolejne pięć lat moje soboty wyglądały tak, że rano uczyłem się muzyki klasycznej, a popołudniami kibicowałem drużynie Watford. Wolałem to drugie. W tamtych czasach Royal Academy of Music wzbudzała we mnie strach. Wszystko w niej wydawało się przerażające: ogromny, olśniewający edwardiański gmach przy Marylebone Road, jej znakomita przeszłość kolebki wielkich kompozytorów i dyrygentów, to, że każda inna muzyka poza klasyczną była w niej kategorycznie zabroniona. Obecnie jest zupełnie inaczej, ilekroć tam zachodzę, akademie wydaje mi się naprawdę radosnym miejscem, a uczniów zachęca się do tego, by oprócz muzyki klasycznej grali pop, jazz albo własne kompozycje. Za moich czasów nawet rozmowę o rock and rollu w murach czcigodnej akademii uważano za profanację. Zupełnie jakby poszło się do kościoła i powiedziało księdzu, że chce się zostać wyznawcą szatana.

Czasami nieźle się tam bawiłem. Miałem wspaniałą nauczycielkę Helen Pienę, uwielbiałem śpiewać w chórze i naprawdę lubiłem grać Mozarta, Bacha, Beethovena i Chopina, w ogóle melodyjne utwory. Innymi razy to miejsce wydawało mi się strasznie nudne. Byłem leniwym uczniem. Kiedy czasami zapominałem odrobić pracę domową, w ogóle się tam nie pojawiałem. Dzwoniłem z domu, zmieniałem głos i mówiłem, że jestem chory, po czym, nie chcąc, by mama domyśliła się, że wagaruję, łąpałem pociąg na Baker Street. A tam przesiadałem się do metra i jeździłem Circle Line przez trzy i pół godziny, czytając *The Pan Book of Horror Stories*, zamiast ćwiczyć Bartóka. Nie wiązałem swojej przyszłości

z muzyką klasyczną. Po pierwsze, byłem za kiepski. Nie miałem odpowiednich rąk. Moje palce były za krótkie. Zwróćcie uwagę, że wszyscy wielcy pianiści na zdjęciach wyglądają jak ludzie pająki. Po drugie, nie tego oczekiwałem od muzyki – nie interesowało mnie bezwzględne podporządkowanie reżimowi ani granie odpowiednich nut w odpowiedniej chwili i z odpowiednim uczuciem, bez możliwości improwizacji.

Biorąc to wszystko pod uwagę, ironią losu wydaje się fakt, że po latach zostałem doktorem *honoris causa* i członkiem honorowym Royal Academy of Music (przebywając w jej murach, nigdy nie zdobyłem nagrody dla najlepszego ucznia). Równocześnie nie jest to wcale aż taka ironia, jak się wydaje. Nigdy nie twierdziłem, że lata spędzone w akademii uważam za stratę czasu. Jestem naprawdę dumny, że dane mi było tam uczęszczać. Grałem koncerty, z których dochód był przeznaczony na zakup nowych organów dla niej. Koncertowałem z Royal Academy Symphony Orchestra w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Co roku funduję osiem stypendiów dla tamtejszych uczniów. Wreszcie, wywodzi się stamtąd wiele osób, z którymi lata później, będąc już Eltonem Johnem, współpracowałem: producent Chris Thomas, aranżer Paul Buckmaster, harfistka Skaila Kanga oraz perkusjonista Ray Cooper. To, czego się tam nauczyłem, a więc gry zespołowej, progresji akordów i budowy utworu, wykorzystywałem później w swoich piosenkach. Dzięki niej interesowało mnie komponowanie utworów nieco bardziej skomplikowanych niż proste kawałki oparte na trzech czy czterech akordach. Jeśli posłuchacie albumu *Elton John* i dosłownie każdego innego spośród późniejszych, z pewnością wychycicie wpływy muzyki klasycznej, a także nauki w Royal Academy of Music.

To właśnie w tym okresie moi rodzice się rozwiedli. Trzeba oddać im sprawiedliwość, że bardzo się starali utrzymać to małżeństwo nawet wtedy, gdy już wyraźnie nie mogli siebie znieść.

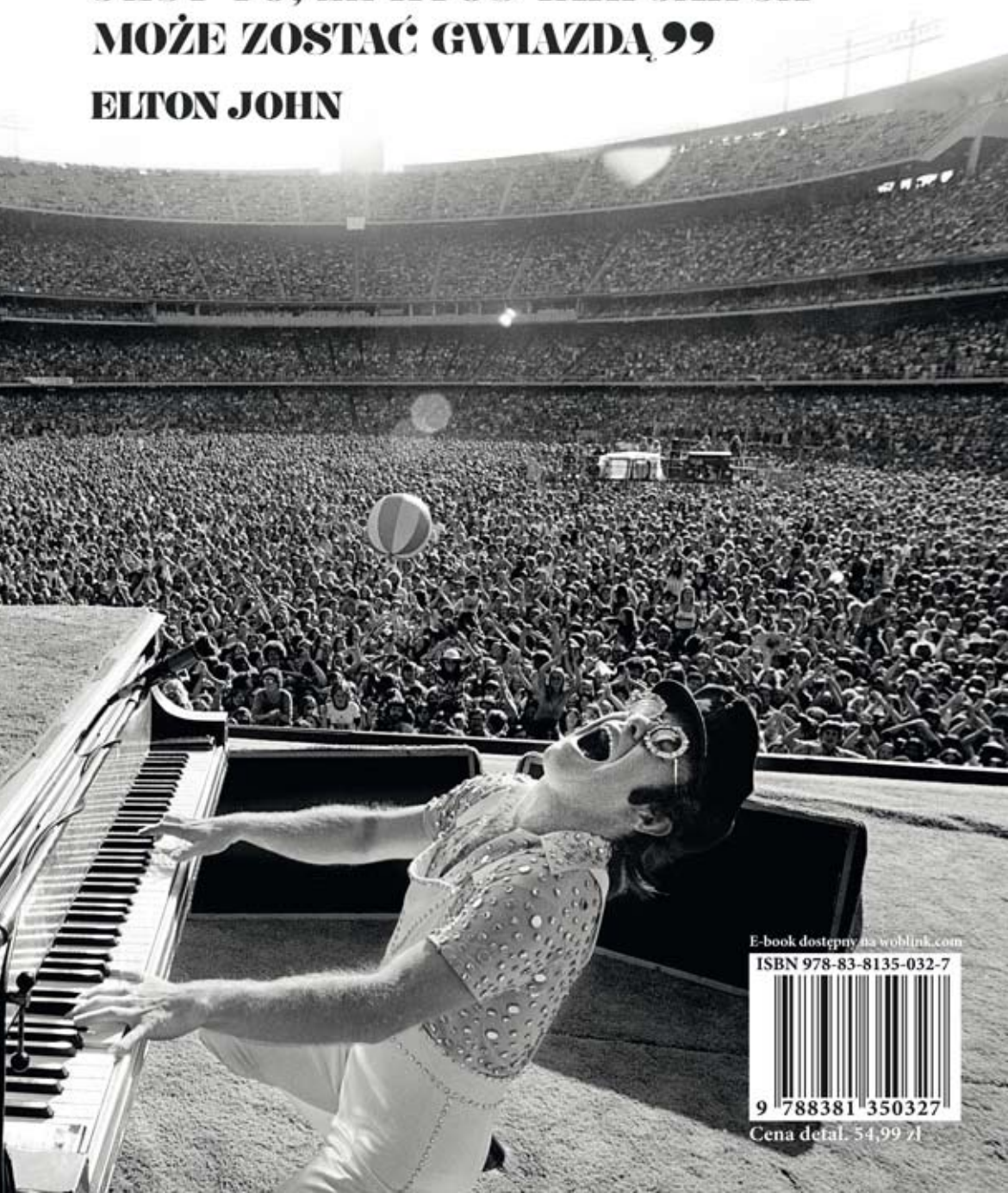
Źródła fotografii

Fotografia na s. 1 okładki – Terry O'Neill, © HST Global Limited, dzięki uprzejmości Rocket Entertainment

Fotografia na s. 4 okładki – © Terry O'Neill / Iconic Images

„WSPANIAŁE W ROCK’N’ROLLU JEST TO, ŻE KTOŚ TAKI JAK JA MOŻE ZOSTAĆ GWIAZDĄ”

ELTON JOHN



E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-8135-032-7



9 788381 350327

Cena detal. 54,99 zł